

Witold był moim przeznaczeniem

RITA GOMBROWICZ miała 26 lat, kiedy poznała autora *Ferdydurke*. 60-letni WITOLD GOMBROWICZ właśnie wrócił do Europy z Argentyny. Dwa miesiące później zaproponował jej, by zostali ze sobą na zawsze. Z Ritą Gombrowicz, która po raz pierwszy przyznaje się, że najbardziej znany w świecie polski pisarz cały czas żyje i jest z nią, rozmawia KATARZYNA T. NOWAK.

Twój STYL: Jakie cechy musi mieć kobieta, która spędziła życie z Witoldem Gombrowiczem, upartym samotnikiem?

Rita Gombrowicz: Dobre zdrowie. Mnóstwo energii. Dużo cierpliwości, której mnie akurat czasem brakowało. Ale najważniejsza cecha, i tę rzeczywiście posiadam, to kochać jego literaturę.

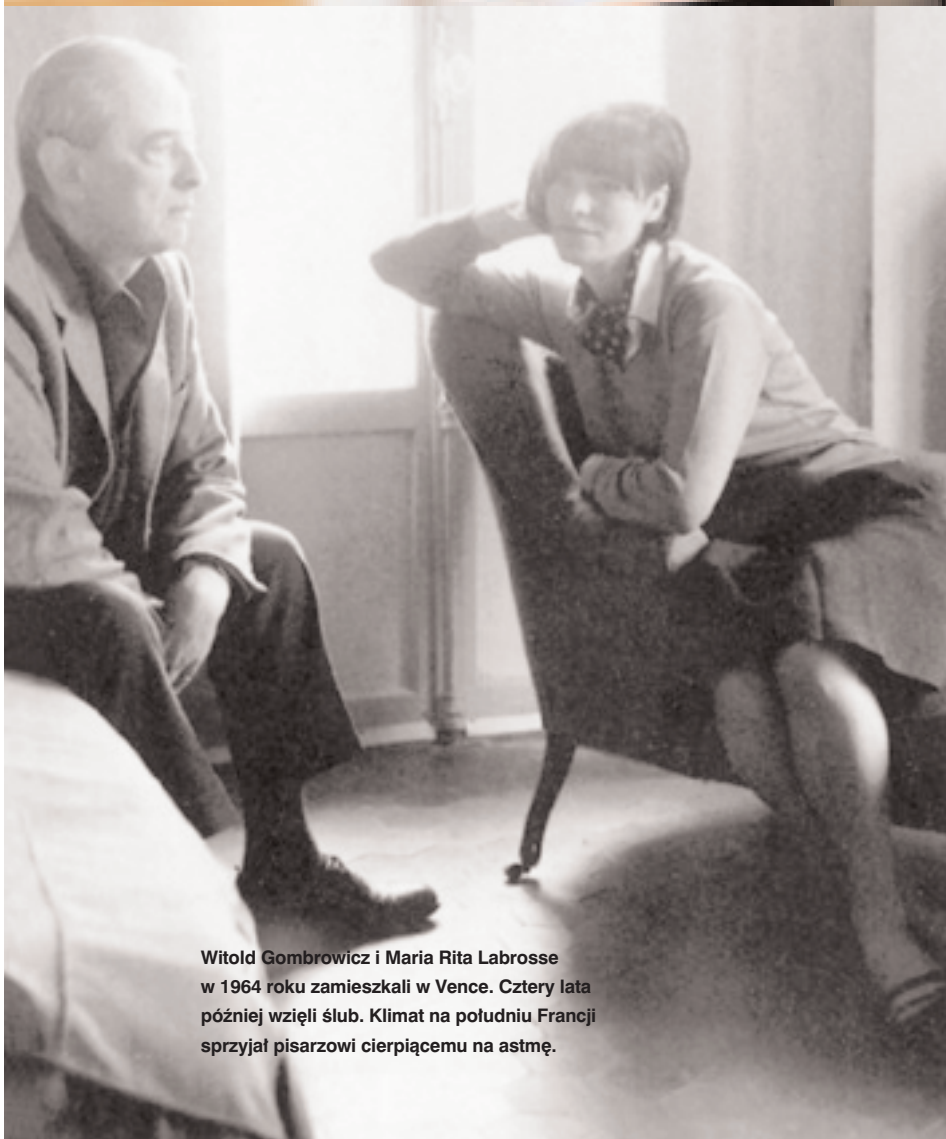
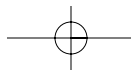
TS: Po Witoldzie Gombrowiczu podobno można było spodziewać się wszystkiego, tylko nie zawarcia małżeństwa. A jednak on Panią wybrał. Musiało nastąpić między Wami jakieś niezwykle, natychmiastowe porozumienie.

RG: Urodziłam się w Quebecu, w Kanadzie, w bardzo katolickiej rodzinie uprawiającej

ziemię i było nas dziewięcioro rodzeństwa. A zatem najpierw ta ziemia; Witold pochodził z rodziny ziemiańskiej i rozumiał przywiązanie do ziemi. Każde z naszego rodzeństwa odbywało tę samą drogę: do dwunastego roku życia przebywaliśmy w domu, uczyliliśmy się w miejscowych szkołach, potem wysłano nas do klasztornej college'u z internatem. Witold opuścił dom rodzinny i kształcił się w Warszawie. Mieszkańcy Quebecu żyją w silnym poczuciu dominacji Anglików i bardzo dbają o pielęgnację swoich francuskich korzeni. Polska zawsze żyła w cieniu jakiegoś mocarstwa. W każdym razie, mając 23 lata, znalazłam się we Francji, zajęłam się literaturą francuską i marzyłam

o poznaniu francuskiego pisarza. W dodatku byłam feministką, trochę lewicowałam i moim ideałem był związek Simone de Beauvoir z Jean Paulem Sartrem. Tymczasem poznałam pisarza z Polski, w dodatku zdecydowanego antykomunistę, który w swojej pisarskiej twórczości nie oszczędzał kobiet.

TS: Pewnego lipcowego dnia w 1964 roku, w dawnym opactwie cystersów w Royumont, koło Paryża, spotyka się para niezwykle młodziutka, piękna Kanadyjka, pisząca doktorat o francuskiej pisarce Colette, i wielki, ale nie znany jej pisarz, który nigdy do tej pory nie wpadł na myśl, by się z kimś związać. Co sprawiło, że z tego spotkania zrodził się mocny i ważny związek?



Witold Gombrowicz i Maria Rita Labrosse w 1964 roku zamieszkali w Vence. Cztery lata później wzięli ślub. Klimat na południu Francji sprzyjał pisarzowi cierpiącemu na astmę.

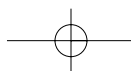
Rita Gombrowicz za życia pisarza wyciągała z kosza manuskrypty, które wyrzucał. Ocaliła rękopis *Kosmosu*, zakończenie *Dzienników*, całą *Operetkę*.

Może nauczył się ode mnie czegoś o kobietach?

Witold nigdy nie był z żadną kobietą, żył samotnie.

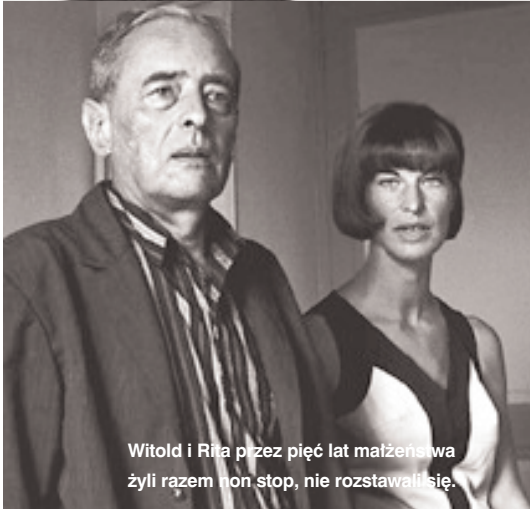
Dlatego uważnie mnie obserwował, chciał wszystko zrozumieć. To było uczenie się nawzajem od siebie. Nie lubił słowa „współżycie”, nazywał nasze życie **współnictwem**.

Rita Gombrowicz





Witold i Rita Gombrowiczowie na przelęczy w Vence, maj 1966 roku. Pisarz po samochodowej przejażdżce miał w zwyczaju przez godzinę, z zegarkiem w ręce, spacerować.



Witold i Rita przez pięć lat małżeństwa żyli razem non stop, nie rozstawali się.

Witold dominował, ale nie przytłaczał.

Życie z nim było niekończącym się dialogiem, dyskusją, rozmową.

Prawdziwym życiem we dwoje, w którym każdy ma prawo głosu i realizacji.

Niczego nie narzucał, ale proponował.

Rita Gombrowicz

◁ **RG:** To wciąż jest dla mnie tajemnicą. W Royaumont, które wówczas było miejscem spotkań literatów, artystów, przebywało mnóstwo młodych twórców i naukowców i wszyscy byli w nim zakochani. On był dla nas takim żywym wcieleniem Sokratesa zmieszanego z Chaplinem, do którego był bardzo podobny. Był nie tylko szalenie przystojny, ale niezwykle mądry, w sposób wyrafinowany dowcipny, pełen sarkazmu i humoru, absolutnie niepowtarzalny. Uwielbiano go, ale on sam trzymał się na dystans. Kiedyś wracałam z konnej przejażdżki, a Gombrowicz nagle spytał: „Jak pani może uprawiać tak idiotyczny sport?

Jedno zwierzę dosiada drugiego, żeby galopować!” Rozśmieszyło mnie to, zaczęliśmy rozmawiać i tak sobie rozmawialiśmy przez całe dwa miesiące w Royaumont. Popołudnia on spędzał zwykle w parku, na ławce. Czasami przysiadłałam się do niego. Opowiadał mi o sobie, o tragicznych przeżyciach, które go spotkały. Ale mówił o tym bez patosu. Fascynował mnie, miał w sobie ogromną, choć ukrytą siłę. Nigdy nie wpadłabym na pomysł, żeby z nim wyjechać, gdyby mnie o to nie poprosił. Powiedział to kiedyś ot, tak, po prostu, przy śniadaniu, w dodatku w obecności kilku osób: „Proszę jechać ze mną do Argentyny”. Zaprotestowałam,

Nie mieliśmy żadnych się ubierać. Mawiał,

powiedziałam, że chcę skończyć doktorat, a on na to: „Niech pani zrobi doktorat o mnie, ja go napiszę za panią w dwa tygodnie”. I nagle, ku własnemu zdumieniu, zgodziłam się. Ale nie chciałam jechać do Argentyny, zdecydowaliśmy się na ciepłe południe Francji, na klimat sprzyjający chorobom Gombrowicza, czyli na Vence. Przecież on miał astmę i rozedmę oskrzeli.

TS: I nie przerażało Pani to, że był człowiekiem chorym i starszym o 30 lat?

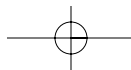
RG: Byłam zbyt młoda i zbyt zdrowa na to, by naprawdę wiedzieć, co znaczy być poważnie chorym. Myślałam, że on wyzdrowieje, że to tylko taki przejściowy zły okres. Nie zdawałam sobie wtedy sprawy z tego, że on już podąża do śmierci, że będziemy razem tylko przez pięć lat. Ale jeśli przez te pięć lat żyliśmy normalnie, to ostatnie sześć miesięcy było niezwykle ciężkie. Witold przeszedł zawał, miał silne ataki astmy. Nigdy się nie skarżył. Zachowywał się jak człowiek zupełnie zdrowy. Dopiero po zawałe zdarzało mu się wzdychać: „Jestem jak stary kocur miauczący na stercie śmieci”. A różnica wieku? Nigdy nie była dla nas problemem.

TS: Po raz pierwszy przeczytała Pani dzieła Gombrowicza dopiero wtedy, gdy zamieszkałaście już w Vence. Czy w jego książkach odkryła Pani jakiegoś nie znanego sobie do tej pory człowieka?

RG: Nie. To był wciąż ten sam Gombrowicz, i w literaturze, i w życiu. Ale jego książki były dla mnie ogromnym odkryciem. Zaczęłam od *Ferdydurke*. On zmusił mnie do jej przeczytania. I to było dla mnie tak wielkie przeżycie, że od razu pokochałam jego literaturę. Gdyby to dzieło tak mnie nie uwiodło, zajmowanie się spuścizną po Gombrowiczu byłoby zapewne znacznie trudniejsze. A tak tropię jego ślady w ludziach, odnajduję go w jego książkach, które są bardzo autobiograficzne. I to jest tak, jakby cały czas żył i był ze mną.

TS: Gdy już byliście ze sobą, czy potwierdziła się potoczna opinia, że choć Witold Gombrowicz był wspaniałym pisarzem, to równocześnie był człowiekiem po prostu nie do wytrzymania?

RG: Ale skądże! Życie z nim było niekończącym się dialogiem, dyskusją, rozmową. Prawdziwym życiem we dwoje, w którym każdy ma prawo głosu i samorealizacji. Ja byłam wtedy taką małą dziewczynką, trochę



tabu, rozmawialiśmy o wszystkim. Witold doradzał mi, jak mam że kobieta dystygowana zawsze powinna być trochę źle ubrana.

niedojrzałą, niepoważną, a jednak zawsze czułam się przez niego rozumiana. On nigdy mnie nie osądzał i nie potępiał. Nigdy nie upokarzał. Nie mieliśmy żadnych tabu, rozmawialiśmy o wszystkim. To on doradzał mi, jak mam się ubierać i jak radzić sobie z własnymi wadami. Mawiał, na przykład, że kobieta prawdziwie dystygowana zawsze powinna być trochę źle ubrana. Ubranie nie mogło być zbyt obcisłe, powinno być odrobinę za duże. Uczył mnie mówić innym „nie” i kazał mi to ćwiczyć przed lustrem. Mówił, że jak się tego wreszcie nauczę, to nie będę się nabierać na tych ludzi, na których nie warto się nabierać. No i w końcu nauczył mnie tego wszystkiego!

TS: Gombrowicz był prawdziwym guru dla ogromnej liczby ludzi. A Pani ma wybitnie silną osobowość. Czy mimo to on był także Pani mistrzem w każdej dziedzinie?

RG: Nawet jeśli tak, to było to bardzo naturalne. Ale on nie znosił uległości, raczej zachęcał mnie do stawiania oporu. Szanował indywidualność i odrębność drugiej osoby. Namawiał mnie na przykład do wyjazdów, choć nie mógł mi towarzyszyć. Chciał, żebym każdego lata gdzieś wyjeżdżała. Zachęcał mnie do pisania artykułów, esejów, do samorealizacji.

TS: A przecież z Dzienników wyłania się wielki egocentryk, który zawsze ma rację, i skądinąd na ogół ją miał. Jak to się przekładało na Wasze codzienne życie?

RG: Owszem, on dominował, ale nie przytłaczał, a to są dwie różne rzeczy. Jak wychodziliśmy na spacer, każde z nas mówiło, dokąd chce pójść, i zazwyczaj to on wygrywał. Pewnego dnia spytał mnie, jaka jest jego największa wada, i ja odparłam: „Taka, że ty zawsze wszystko chcesz mi narzucić!” Zdziwił się, ale od tego czasu szedł na drobne ustępstwa. Przed każdą decyzją mówił: „Pamiętaj, ja nie narzucam, ja proponuję”. Kiedy się w czymś nie zgadzaliśmy, zaczynał na ten temat dyskuszję. Nie zdarzyło się, by któreś z nas chowało w swoim sercu urazę. Tak, najczęściej to ja ustępowałam. Ale przecież byłoby dziwne, nienaturalne, gdybym to ja jego zdominowała, prawda? Przyjemnością dla mnie było robienie jemu przyjemności. Owszem, Gombrowicz był silnie skoncentrowany na swoim świecie, na swoim ja. A równocześnie zawsze potrafił wesprzeć drugą osobę. Umiał panować nad swo-

im egocentryzmem. Nigdy na przykład nie mówił o swoich cierpieniach, o bólu, czy nawet o swoim pisarstwie. Życzyłabym wszystkim kobietom mieć takich egocentryków za mężów jak on.

TS: Powiedziała Pani kiedyś, że związek z Gombrowiczem uczynił z Pani zakonnice. Do jakiego stopnia Pani życie było i jest jego życiem?

RG: Stałam się w pewnym sensie postacią stworzoną przez Gombrowicza. Być może poprzez niego wyrażałam siebie? Być może nie potrafiłabym inaczej funkcjonować? To prawda, że na początku było to przytłaczające. I w dodatku spadło na mnie z dnia na dzień. Nie znałam języka polskiego. Każdą jego książkę, każdy utwór dawałam do tłumaczenia na francuski, by go lepiej zrozumieć. Potem, po jego śmierci, stało się to częścią mojego życia, moją codziennością. Ale to było bardzo trudne. W zapanowaniu nad tym wszystkim pomogło mi dopiero napisanie pierwszego osobistego świadectwa o nim pod tytułem *Gombrowicz w Argentynie*. To mnie uratowało. Pomogło mi znaleźć miejsce dla siebie samej, dla mojego własnego życia. Ale pisząc o nim, zламаłam pewne tabu. Bo jego świat był światem prawie niemożliwym do dotknięcia. A ja to zrobiłam. I wiem, jak ważne jest, by nie zrobić zbyt dużo, nie poczuć się zbyt ważną osobą za sprawą jego twórczości. Nie stać się „wykorzystywaną”, a zarazem „urzędową wdową”.

TS: A czy za jego życia było coś, co on brał z Pani? Coś, czego on się nauczył właśnie od Pani, a nie na odwrót?

RG: Może nauczył się czegoś o kobietach? Nigdy nie był z żadną kobietą, żył samotnie, choć otoczony ludźmi. Życie z kobietą było dla niego czymś absolutnie nowym. Dlatego uważnie mnie obserwował, chciał wszystko zrozumieć. Każdej sytuacji uważnie się przyglądał. To było uczenie się nawzajem od siebie. Nazywał nasze życie „wspólnictwem”, nie lubił słowa „współżycie”. Może, bo tu ciągle jest jakieś „może”, istotne dla niego było to, że ja go kochałam. Zanim mnie poznał, był w swojej literaturze okrutny wobec portretowanych przez siebie kobiet.

TS: Napisała Pani w książce *Gombrowicz w Europie*, że on bał się miłości, a równocześnie potrzebował, by kochano go bezin-

teresownie i z oddaniem, miłością absolutną. Czy to było w ogóle możliwe?

RG: To było bardzo trudne. Przecież ja byłam młoda i chciałam wszystkiego! A on w sferze uczuć był bezlitośnie trzeźwy. Drażniły go wielkie uczucia. Idealizacja, zwłaszcza stosunków między kobietą i mężczyzną, trąciła dla niego fałszem. Nienawidził wzajemnego nadszkakiwania. Pamiętam, jak w moje urodziny, a skończyłam wtedy 30 lat, chciałam zrobić mu niespodziankę: uroczysta kolacja we dwoje. Rozpaliłam w kominku, zapaliłam świece. Gombrowicz wszedł do jadalni i dał mi do zrozumienia, że dym szkodzi mu na astmę. Zgasiłam świecę, a on zrobił mi wykład o szczęściu. Powiedział, że marzenie o szczęściu, szukanie wygody, która nie istnieje, jest płytkie i małoduszne. Że życie to wieczna walka z trudnościami, bo żyć to znaczy walczyć. I że niczego nie zdobywa się raz na zawsze. Trzeba umieć bawić się drobiazgami. „Masz 30 lat – powiedział – starzejąc się, przestajesz być przedmiotem, a stajesz się podmiotem. I dopiero wtedy kobieta zaczyna żyć naprawdę i może zmieść starzenie się”. Powiedział też, że muszę pogodzić się z tym, że każdy jest samotny. Dziś, kiedy jestem w wieku Witolda z czasów, gdy z nim żyłam, patrzę na niego z pozycji osoby mu równej. I dopiero teraz zaczynam go rozumieć. Ale on chyba nie chciałby żyć ze starszą panią! Tak, życie z nim było trudne, czasami wręcz nie do zniesienia, ale nigdy nie myślałam o tym, by go rzucić. On był moim przeznaczeniem. Nikt nie dałby mi piękniejszego domowego ogniska niż on. Nie chciałam zakładać rodziny, broniłam się przed banalną egzystencją. Uciekałam przed dorosłością. A on dał mi zaczarowany świat wiecznego dzieciństwa.

TS: A czy on mówił Pani: „kocham cię”?

RG: Nie w ten sposób. On zawsze mówił mniej, aby powiedzieć więcej. Wyrażając uczucia, uważał, żeby się nie zapędzić za daleko, mówił dokładnie to, co czuł, ograniczając się do wyrażenia konkretnej potrzeby. I dodawał takie charakterystyczne dla niego powiedzonko: „ani więcej, ani mniej”. Ale cały czas, choć na swój specyficzny sposób, dawał mi odczuć, że jestem dla niego ważna. Gombrowicz nie był człowiekiem, którego można by posądzić o zakochanie się. Odbarzał mnie miłością jakby ojcowską. ▷



Gombrowicz nie był człowiekiem, którego można by posądzić o zakochanie się. Obdarzał mnie miłością jakby ojcowską.

◁ **TS:** Ale czy można powiedzieć, że umiał mocno kochać i mocno nienawidzić? A jeśli tak, co kochał, a czego nienawidził?

RG: Niczego nie nienawidził. Starał się zrozumieć innego człowieka, nawet jeśli był to nieprzyjaciel. Umiał postawić się na jego miejscu. Zarówno nienawiść, jak i konwencjonalna miłość były mu obce. On je przekraczał, był ponad tymi uczuciami i emocjami. Być może trochę jak Nietzsche funkcjonował w innym wymiarze. Jakby już wszystko wiedział.

TS: Gombrowicz, mimo że łamał konwencje, był przywiązany do pewnych rytuałów, na przykład rytuału rozmowy. Czy były jakieś domowe rytuały, których trzeba było przestrzegać, by czuł się dobrze?

RG: On miał jakby dwie twarze. Z jednej strony przestrzegał rytuałów, jakie wyniósł z rodzinnego domu, był bardzo zdyscyplinowany i obowiązkowy. Jego łóżko było zawsze starannie pościelone, pokój posprzątnany. Przed południem pisał. Nigdy nie używał długopisu, tylko pióra. Lubił porządek, więc nie trzymał na biurku żadnych papierów. Miał zwykły mały notes. Dokładnie w południe wchodził do mojego pokoju i pytał, co myślę o jego ubiorze. Jeśli mówiłam, że spodnie nie pasują do marynarki, mówił, że tak właśnie ma być, tak jest elegancko. W domu zawsze nosił marynarkę, nigdy nie wkładał szlafroka ani kapci. Zawsze i w każdej sytuacji chciał zachować tak zwane formy i zarazem Formę przez duże „F”. Gdy sytuacja była przymusowa, zamiast szlafroka wkładał swój zużyty, przywieziony z Argentyny płaszcz, ale papucie...! Nigdy nie miał! Zawsze był w butach. Gdy wyjeżdżaliśmy samochodem na spacer, gdziekolwiek byśmy pojechali, zawsze przez godzinę, z zegarkiem w ręce, chodził. Miał też swoje rytualne zdania, które lubił i musiał powtarzać. Gdy na przykład snułam jakieś plany, on mawiał: „Żadnych marzeń, jak mówiła matka Napoleona”, a gdy prosiłam o radę: „Rób, co ci serce dyktuje!” Gdy miałam rację, to oznajmiał: „Żyj i daj żyć innym”. Z drugiej strony miał ogromną fantazję. I nie narzucał ani nie wymagał od nikogo reżimu. Kiedy pisał, a ja chodziłam na palcach, mówił: „Przestań się wygłupiać! To nie kościół!” Nie był też ani nieznośnym pedantem, ani bałaganiarzem. Nie miał maniakałnego przywiązania do porządku.

TS: A czy był w czymś maniakiem w dobrym sensie tego słowa?

RG: Byliśmy razem non stop, nie rozstawaliśmy się. Bardzo mu więc zależało, by nasze życie było dobrze zorganizowane. Dom nie mógł być domem wariatów, wszystko musiało mieć swoje stałe miejsce. A zarazem powinny to być wymagania minimum, jego zdaniem: biurko, krzesło, tapczan. Pokoje urządzone prawie jak cela w klasztorze, tylko to, co niezbędne do życia. Witold zawsze też bardzo panował nad sobą.

TS: Co było najtrudniejsze w życiu z nim? Na jakie kompromisy musiała Pani pójść?

RG: To były niewielkie kompromisy, zaledwie drobne ustępstwa. Sądzę, że on, żyjąc ze mną, szedł na większe kompromisy niż ja.

TS: Był bardzo przystojnym, pełnym uroku i tajemniczy mężczyzną. Musiał intrygować kobiety. Czy one go osaczały?

RG: Powiedział mi kiedyś, że gdy był młody, kobiety nie interesowały się nim. Z jego urodą i osobowością wydaje się to wręcz niewiarygodne. Przecież on był w pewnym sensie jak Humphrey Bogart! I wiem, że istniały kobiety, które nie tylko bardzo go lubiły, ale i fascynowały się nim.

TS: W *Dziennikach* napisał o sobie: „Jakiz jestem niesympatyczny!” Potwierdza to wiele anegdot krążących o nim. Co Pani o tym sądzi?

RG: Według mnie był sympatyczny. Ale stawał się rzeczywiście bardzo niesympatyczny wobec ludzi nieuczciwych czy pretensjonalnych. Oni go drażnili. Był znakomitym psychologiem i błyskawicznie wyczuwał fałsz. Wtedy potrafił być antypatyczny. Opowiadano mi o takich sytuacjach, ale sama niewiele ich widziałam. Pamiętam go, gdy był strasznie wzburzony... Kupiliśmy wtedy telewizor. Akurat w jakimś programie pojawił się znany poeta francuski Louis Aragon. Aragon był mocno zaangażowany w ruch komunistyczny, a jednocześnie mieszkał we wspaniałej rezydencji. Widać było, że sam siebie okłamuje. I w tym programie w bardzo wzniosły sposób zaczął recytować poematy do swojej żony Elsy Triolet, która była już wtedy panią w mocno starszym wieku. Witold nie mógł na to patrzeć. Tak potwornie go to zirykowało, że wyszedł z pokoju. Uważał, że to jest nie na miejscu. Wyczuł zakłamanie. Miał poczucie, że między Aragonem i jego żoną wcale nie istnieje ta idealistyczna miłość.

TS: Niektórzy z uporem powtarzają, że Gombrowicz pisał drugie, intymne dzienniki...

RG: Tak, wciąż robił notatki. Nie wiem do końca, co w nich jest, bo wszystkie są po polsku. To wszystko jest teraz w archiwach. I z tym trzeba jeszcze poczekać.

TS: Żyje Pani wśród papierów, dokumentów, notatek, jakie zostawił. Niejako wciąż z duchem Gombrowicza. Czy to jest życie właśnie takie, jakie Pani odpowiada?

RG: To po prostu jest moje życie. Przez ostatnie dwadzieścia lat te wszystkie papiery Witolda i jego notatki były dosłownie wszędzie: pod łóżkiem, w tapczanie... Teraz to jest już uporządkowane przeze mnie i sytuacja stała się bardziej normalna. Dokumenty są w archiwach, ja zmieniłam mieszkanie. Ale gdy już pozbyłam się tych papierów, poczułam się jakby ograbiona z własnego życia. Jednak było to konieczne. Musiałam się wyzwolić. Byłam to też winna innym ludziom. Nie chciałam stać się zaborczą. Oddałam Witolda Gombrowicza czytelnikom.

TS: Czy z ogromnej twórczości Gombrowicza ma Pani jakąś jedną rzecz, którą szczególnie Pani lubi?

RG: Bardzo lubię jego *Dzienniki*, zwłaszcza wspomnienia z Polski.

TS: Jak długo tropiła Pani ślady swojego męża: dokumenty, listy, wspomnienia przyjaciół, aby mogła powstać tak ważna książka *jak Gombrowicz w Europie*? Na jakie trudności Pani natrafiła?

RG: Zaraz po śmierci Witolda szukałam kontaktu z ludźmi, którzy go znali. W 1973 roku zaczęłam zbierać materiały do *Gombrowicza w Argentynie*, a ponieważ książka ukazała się w 1989, więc zabrało mi to prawie 15 lat! I ta praca trwa, to się nie kończy, wciąż odkrywam coś nowego o Witoldzie w ludzkiej pamięci. Największym problemem było dotarcie do tych ludzi, przekonanie ich, by chcieli opowiadać. Na szczęście większość mówiła chętnie i otwarcie. Ale ja wiem, że jeszcze nie wszystko mi pokazano, jeszcze sporo jest do odkrycia.

Rozmawiała KATARZYNA T. NOWAK

Rozmowa odbyła się w maju podczas pobytu Rity Gombrowicz w Polsce. Właśnie krakowskie Wydawnictwo Literackie wznowiło jej książkę *Gombrowicz w Europie*, a tomem *Bakakaj i inne opowiadania* rozpoczęło edycję *Pism zebranych Witolda Gombrowicza*.